

Słodka trucizna do tańca

„Gate 61”, debiutancki album łódzkiego duetu Poisonsweet (premiera 28 kwietnia), nie porywa emocjami, niesamowitością brzmień, wirtuozerią wykonawstwa, oryginalnością kompozycji czy choćby odkrywczością tekstów. Wystarczy jednak, by muzyka na nim zawarta stanowiła nieabsorbujące towarzystwo innych aktywności. Takie muzyczne tło czasem też jest potrzebne, nawet jeśli ambicje autorów sięgają dużo dalej, a dla swojej twórczości wyznaczają oni rolę inną niż tylko użytkowa.

Debiut to dość szczególny, bowiem tworzący duet Poisonsweet Marta Murowaniecka i Rafał Spreng, delikatnie mówiąc, lata młodzieńczej naiwności mają dawno za sobą (pozwalam sobie tak pisać, bo ja te lata mam za sobą jeszcze dawniej). Wygląda na to, że choć ich życiowych karier nie napędzała muzyka – ona pracuje w korporacji, on jest fotografem – to jednak zapewne wciąż była ich pasją, formą realizacji potrzeby tworzenia, marzeniem, które ziściło się w postaci profesjonalnie wydanego albumu „Gate 61”, nagranych w stworzonym przez nich własnym studiu. Ze zrozumiałych względów ten nowy wątek aktywności musi być dla nich szczególnie ważny, co może się też wiązać z brakiem dystansu wobec własnej twórczości. To wszystko nabiera znaczenia w momencie, kiedy swoje dzieło – ukochane, wymarzone dziecko – prezentujemy odbiorcom, czy nawet wystawiamy na sprzedaż. Tym samym poddajemy się ocenom i nic na to nie poradzimy.

Duet Poisonsweet na swojej witrynie internetowej przedstawia się jako zespół grający muzykę alternatywną. Mam z tym kłopot, bo coś, co kojarzy się z elektroniczną muzyką popową z lat 80. i 90. XX wieku, trudno mi zaliczyć do nawet szeroko rozumianej alternatywy. Mniejsza o etykiety. Pojmuję to raczej jako wyraz aspiracji twórców. Podobnie zresztą jak ich deklaracje o „zaskakiwaniu gęstością brzmień, nietypowym wokalem i atmosferą wyjątkowości” czy o upodobaniu do „wokali o szerokiej skali i niepokojącym brzmieniu”. Słuchając płyty „Gate 61”, nie znalazłem potwierdzenia tych zapowiedzi.

Repertuar prezentowany przez Poisonsweet (jedenaście niezbyt zróżnicowanych utworów autorstwa Marty Murowanieckiej i Rafała Sprenga) wykorzystuje zestaw środków typowych dla muzyki elektronicznej w wydaniu popularnym i nieco archaicznym. To dość ascetyczne brzmienie, prosty rytm z maszyny perkusyjnej (często w metrum 2/4) i monotonny bas z klawisza, grający na jednym, dwóch dźwiękach w ramach akordu. Do tego niewyszukane motywy melodyczne. W tle „terkoczą” syntezatorowe arpeggia, czasem elektroniczne efekty dźwiękowe, które mają kreować atmosferę niesamowitości, grozy. Przepływają narastającymi falami, zgrzytliwe, odstrojone, obce (np. w utworze „Erase”). Ta estetyka rzeczywiście przywołuje skojarzenia z synth popem, muzyką taneczną, klubową. Próżno szukać tu jednak rozbudowanych harmonii, z rzadka pojawiają się syntetyczne „chóry” lub „smyczki”, jak w utworach „Way Out” czy „Control”. Można w nich zaobserwować dramaturgię kształtującą się z poszczególnych warstw dźwiękowych – twórcom udaje się zbudować napięcie, emocje. Muzycznie ciekawy jest również utwór „Azarius” z jego różnorodną przestrzenią.

Mało wyrazista struktura poszczególnych kompozycji powoduje, że słuchającemu trudniej się zaangażować, wejść w muzyczny świat, podążać za opowieścią. Brakuje dźwiękowej konsekwencji, nie wiadomo, dokąd zmierza utwór, poszczególne części wydają się przypadkowo połączone. Zwykle wstęp, oderwany od reszty, stanowi obiecującą zapowiedź czegoś, co nie jest kontynuowane. Bywa, że dochodzi do zawahań rytmicznych i momentami robi się bałagan. Tych wszystkich mankamentów nie udało się „zatuszować” zabiegami produkcyjnymi (jako producent występuje Poisonsweet). Konstrukcja nagrań jest dość uproszczona – nie ma tu efektownych pomysłów realizacyjnych.

Największy problem przy okazji albumu „Gate 61” mam jednak z wokalem Marty Murowanieckiej. Długo zastanawiałem się, co z nim jest nie tak. Po pierwsze: głos emitowany gdzieś z nosogardzieli na ogół w wysokich rejestrach brzmi jakoś słabo, „cienko” i pozbawiony jest indywidualności. Po drugie: wokalistka śpiewa według niemal jednego schematu, podobnie akcentuje, kończąc frazę prawie zawsze w górę, nie różnicuje nastroju. Po trzecie: również melodie są do siebie podobne, mieszczą się w wąskim rejestrze, nie rozwijają się, klejone są z krótkich, powtarzających się elementów. Nuty nie tworzą napięcia, dramatycznego przebiegu na przestrzeni kilku fraz, są „oczywiste”, wpasowane w dźwięk podstawowy akordu, jakby wokal był dorabiany do istniejącego podkładu. Niemal identyczne frazy powtarzają się w różnych utworach. Stąd bierze się wrażenie monotonii. Muszę jednak przyznać, że po pięciu odsłuchach płyty została mi w głowie melodia refrenu utworu „Way Out”. Bywa, że linia melodyczna nie mieści się w harmonii, zgrzyta np. z motywem granym na klawiszach. Po czwarte: teksty po angielsku śpiewane są na tyle niewyraźnie, że trudno odczytać treść przekazu (według deklaracji dotyczy on „aktualnych kwestii społecznych” oraz „relacji”), mimo że wokal moim zdaniem jest trochę zbyt głośny w stosunku do warstwy instrumentalnej. Tych, którzy, podobnie jak ja, nie usłyszeli zbyt wiele z treści utworów Poisonsweet, może pocieszy próbką jedynej na płycie polskiego tekstu: „Fale, fale odebrane / takie same, wciąż te same / one tak od lat odmierzają czas” („Fale”).

Tak odbieram tę płytę, pamiętając jednocześnie o wysiłku, jaki twórcy włożyli w jej przygotowanie, i szanując ich myślenie o muzyce. Najważniejsze, żeby nadal robili to, co kochają. Do tego nie potrzebują moich pochwał. Mam nadzieję, że powyższe uwagi ich nie zniechęcą. Mogą stanowić materiał do przemyśleń w pracy nad kolejnymi kompozycjami. Marta Murowaniecka na stronie internetowej zespołu zdradziła, że śpiewa sopranem koloraturowym. Ciekawe, jak zabrzmiałby w muzyce elektronicznej? Może to jest jakiś pomysł.

Bogdan Sobieszek